Rozmaitości

DNIA 5. LIPCA **N^er 27.** 1834 ROKU.

KONIEC JESIENI.

HISTORYJA MAŁŻEŃSKA.

(Z Revue de Paris.)

Stara i szlachetna siedziba młodego margrabiego de Lagarde nie miała sobie równéj, z jakiéj chcesz biorąc ją strony. Zamek, o małych tylko ośm mil od Paryża odległy, był położony w wiosce, któréj nazwisko zamilczymy. Gdzież znajdziesz ogród pełniéjszy drzew i cienia? ani w Medon wsławionym tyle. Gdzież krętsze ścieszki, gubiące się w gęstwinie, i ulice dłuższe, zamierzchléjsze, zadumańsze? Głośna przedsień zamku de Lagarde, stajnie ciepłe, pełne obroków i siana, a odgłos sklepień dźwięcznie odbrzmiewało rzenie koni. Śród czystego i obszérnego dziedzińca bije wodotrysk. Przed podwojami, jak chcecie, sfinxy czy gryfy, dzieci 18stego wieku, współczesne chińskich bohomazów, z żalem roniły szczupły wytrysk wody z paszczy, głupawym śmiéchem otwartéj. Daléj zmarszczone głowy spiżowe, pamiątki cesarstwa, zamiłowanego w żelezie, oddawały tę wodę, w usłużne wanny zebraną; a nawet strumyczek ogrodowy nie był bez płynu, nie lada jaki ogród takim się strumyczkiem poszczycił! Była i sadzawka, a w niéj wysmukły szczupak i karp namulny plusnął niekiedy. Szkoda tylko, że ów niby ogród francuzki, niby angielski, nie miał innéj zwierzyny, prócz zabłąkanego czasem gołębia z dziecińcowego gołębnika.

Owo tedy mieszkanie nie takie, jak mnóstwo nowych dzisiéjszych, które urosły pod wpływem podnoszenia się lub upadku bursowego papiérów publicznych; gdzie nie obaczysz, jeno nietrwałego gipsu posągi, dach włoskim krojem, wystawę pozółconą, a przed nią kilka piędzi ziemi ukłąbionych z angielska. Wcale różny był zamek de Lagarde. Uczułbyś w nim mimowolnie dobry jakiś zapach feudalności, od niechcenia tylko zapomnianéj. Kształty budowy miały w sobie coś starożytnego, coś pańskiego. Mury, przysłonione gęstą opończą powoju, stare ciosy, mchem przerosłe, a w wielu miéjscach pomiędzy kamienie bruku na dziedzińcu wyziérała trawa. Słowem, był ów zamek dawnym strojem zamek, co pamiętał stare szérokie rogówki i sztuczny róż przy czarnych muszkach na licu. Zamek oddalony od głównego gościńca, poważnie zasiadł śród ogrodu; ten zaś ogród w kilku miéjscach otwiérał widok na pomniéjsze drożyny, od których dzieliły go żelazne pordzewiałe kraty. Lubię ja kraty, przecinające jednostajność drogi; rad przez nie zagląda żebrak i okiem podziwienia spoziéra na sad pański, i wzrokiem pożądliwej zazdrości uśmiécha się do chustki lub ryżowego kapelusza, zapomnianego na ławce darniowéj lub na kanapie w pół przepróchniałéj z malowanego drzewa. Zazdrości, bo sam bez chustki i czapki.

Pewnego dnia, w jesieni, kiedy ptaki jeszcze po gajach nie przestały świérgotać, a drzewa ostatniéj nie straciły zieleni; kiedy róża, na przekorę spóźnionéj porze, ze wszystkich sił swoich stara się jeszcze być piękną; takiego dnia tedy ranna uczta grzmiała w zamku margrabiego de Lagarde, ma się rozumieć, uczta ludzi żonatych, dojrzałych, którzy przebrnęli już zwodnicze sidła młodości. Każdy z biesiadników, dumny tytułem męża, na wyścigi uwielbiał szczęście małżeńskiego stanu, i wszyscy społem, jak niesfory chór opery,

wołali przy każdéj szklanicy: »Niech żyje małżeństwo! Niech żyje na wieki! Któż śmie zaprzeczyć, że my jesteśmy uprzywilejowani szczęśliwi na ziemi. Nade wszystko zaś, broń Boże! uwielbić przed nami bezżeństwo, ten istny czyściec, gdzie człowiek lada dzień nałożyć może zdrowiem, życiem, majątkiem lub cześcią. Skoro trzydziestoletni bezżeniec posiędzie najzawołańszą paryzką kokietkę, co na jedno wychodzi prawie, najbrzydszą; skoro kupi klacz modnéj maści, i kilka pudełek cygarów hawańskich, hamburskich i innych, pytam, co mu do życzenia zostało? Kiedy zaś dobiegamy do celu naszych życzeń, kiedyśmy wyczerpali wszystkie nasze żądania, cóż w ówczas pozostaje z życia? Chwila wyczerpania jest już upadkiem, śmiercią, rozczarowaniem i zagub wszelkiéj rozkoszy i radości. Człowiek zaś póty tylko szczęśliwy, póki ma jeszcze jakąkolwiek żądzę w odwodzie. Otóż małżeństwo samo wyłącznie zdolne jest utrzymać nas w owéj temperaturze, ni nadto zimnéj, ni zbyt gorącéj, i w pewnéj mierze chęci, rozdzielonych na różne termina, płatne rozmaitémi ratami, a które na końcu odpłacą całą iściznę szczęścia, jaka człowiekowi od życia należy.«

Pili coraz więcéj i rozmawiali przyjemnie w duchu téj saméj filozofii: »Smutna rzecz, powiécie, urządzać rozkosze życia, jak wahadło w zégarze, który się poźni bez ustanku, i czekać, nim wyrachowane zjawią się w oznaczonym czasie i miéjscu. Cóż jest każda hulanka? Tryumf do sytu, uroczystość nudów. Patrz na rozpustną biesiadę, cóż tam znajdzież? Wino i kobiéty — kobiéty i kwiaty, symetrycznie rozstawione, a potém czkawka od wina i szum w głowie, i nic więcéj. Hulanka jest kłamliwą chęcią, połączenia w jeden punkt wszystkich radości, wszystkich uroków świata, dowcipu i dobroduszności, zaniedbania i wdzięku. Równocześnie napełnia się czasza winem i głowa wyskokami biesiadnego dowcipu. Na pół odkryte łono, usta umilone uśmiéchem, i przeciągłe spojrzenie, wszystko na zawołanie; ale cóż z tego? Wino wprawdzie nalane wypić potrzeba, trzeba dotrwać i tym uśmiechom, na zakaz sporządzonym, jednak sercu brak czegoś. Na to, co być miało, z dawnaśmy się gotowali, długośmy się sadzili na przyjęcie przewidzianéj rozkoszy, tak, że zimna krew nasza nie upada w walce z gorącą pijatyką, mimo chęć najszczérszą. Koniec końców, wychodzimy znudzeni, przesyceni do ostatka i sąsiad powtarza sąsiadowi o sąsiedzie: Ach, jakiż on brzydki! i najczęściéj każdy ma słuszność.« Tak pięciu nowożeńców głośno uwielbiało szczęśliwość swojego położenia, głośno wyklinali przeszłe swe życie, najdrobniéjszym nie przepuszczając szczegółom, może dla tego tylko głośno, aby tém lepiéj pokryć tajemny żal po nim wewnętrzny. Wyklęciom towarzyszyły hymny pochwalne małżeństwa, a likwory i wino płynęły, lecz bez zapału i skwapliwości. Każdy wysilał się na zachowanie powagi, żonatemu człowiekowi właściwéj, i zatrzymali się właśnie na szczeblu pół-pijaństwa, w owéj stanowczéj porze, kiedy umysł, w obawie upadku, czuwać musi nad każdym ruchem i słówkiem. Lecz kiedy człowiek wpół pijany, ten sam umysł ma chwile nieprzepartego rozumowania i niezwyciężonéj logiki. Chwalili więc małżeństwo, choć już nie jednemu ze szczęśliwych małżonków włosy zjeżały się na głowie.

Obicia jadalnéj sali umalowane były rozrywkami bachantek i flamandzkiémi tańcami, a te, w oczach podochoconych biesiadników, nie dość jeszcze oswobodzonych od pustéj myśli lat młodych, łamały się w postawy coraz lubieżniéjsze. Obszérny trawnik, widny z okien zamkowych, stroił się w drzewa zamorskie, w szpilkowe sosny i aloesy wielkolistne, bo wino wywołuje złudzenia; wino, ochoczy towarzysz, wszelkie przybiera postaci, to wsi, to miast; i jednego na kmiecia, drugiego przerabia na pana lub artystę, byleby samo zostało królem materyjalnego świata.

Biesiadnicy nasi z zapałem nowo-nawróconych unosili się nad stanem małżeńskim; z tym zapałem nowo-nawróconych, co w nowe bóstwo nie wierzy, a dawnego zapomnieć nie może. Z całą więc formalnością pedantyzmu rozbiérali rozkosze małżeństwa, czcze sceny i zwyczajne drobnostki, które z rozczuleniem powtarzali, krasząc rzecz wykwintnémi ozdóbkami, przycinkami miłości, które mamią czas jakiś niedoświadczonych panów młodych w piérwszych dniach hymenu.

»Ja,« mówił jeden, »uczę sylabizować moję żonę, podług nowéj metody. Codzień dwie

godziny gramy na pozytywie, aby uspić drób nasz świegotliwy, i czytam jéj głośno dzieło pa. Millevoye o miłości macierzyńskiéj, aby ją oswajać z przyszłémi jéj obowiązkami.«

Drugi wołał: »Ja jestem malarzem; moja Alfonsyna za wzór mi służy i prześlicznie umié już malownicze przybiérać postawy. Precz dziś ode mnie wszystkie uliczne boginie, piérwszych mych dzieł wzory, które gotowe w najnaturalniéjszéj postaci okazać się za nędzny talar na godzinę. Wprawdzie dobre dzieci czasem, i ładne niekiedy, lecz godne jeno warstatowéj rozpusty. Alfonsyna stanie mi za nie wszystkie. We wspolnych uniesieniach, w dwoistnéj naszéj samotności, znajduję cały skutek obrazów czułości. Alfonsyna jest moim ideałem, mojém marzeniem, piękną moją Galateą, lecz żyjącą i kochającą!« Mówiąc to, spełnił spory kielich szampana.

»Co do mnie,« rzekł trzeci, »moja żona jest poetką, a bezbożna, jak Wolter. Na chrzcie nazwano ją Korynna, i bardzo to jéj do twarzy. Wiérszuje dzień i noc, wszędzie i o wszystkiém. Dészcz, pogoda, ślub, połóg, i ja sam, mili panowie, ja, jak mię żywego widzicie, jestem rymów jéj przedmiotem. Mógłżem się kiedy spodziéwać, że jenijusz zjawi się w mojéj chacie? Że święta poezyja zstąpi do méj sypialnéj komnaty, siądzie przy mojém ognisku — i pomyśli o moim obiedzie. Ja Grzegorz, com stracił baronowę dla tego tylko, że, wychodząc z opery, wsunąłem jéj miłosny bilecik, niestety! bez ortografii napisany!«

»Do licha!« zawołał Prosper de Lagarde, amfitryjon uczty, zniecierpliwiony słuchacz tych epitalamiów rożnobarwnych, »ja także chcę was o mojém szszęściu przekonać. Zaiste, moi panowie, wasze malowidła domowéj błogości piękne noszą kolory, idzie tylko o to, czy nie przesadzono, i czy talent malarza złéj strony nie zakrył. Ja, moi drodzy, lepszym idę torem; nie mówię, lecz czynię. Ja nie opowiadam o mojéj rozkoszy, lecz ją okazuję na oko. Nie kreślę po powietrzu zjawień szczęścia, lecz je palcami dotykam. Żona moja, tu blizko, na drugim końcu galeryi, w swoim pokoju, między ulubionémi kwiatami. Moja Zuzia piękna, a czysta żona moja! Hulanka gwarliwa odstrasza ją nawet we własnym domu; ucieka wrzawy światowéj, bo też taka delikatna! Na honor! niech żyje cnota prawych małżonek! ona tylko rzeczywistém jest szczęściem na ziemi! Moja żona nie jest zaiste Lukrecyja, lecz, na usługi panów, zowié się Zuzanna — to także znaczy cokolwiek!«

Powiedziano, zrobiono. Ten chciał okazać, ci widziéć chcieli jego szczęśliwość. Pragnęli przekonać się na oko o tém przywiązaniu żoniném, bo Prosper, wzorem króla Kandola, chciał całemu zgromadzeniu swoich przyjacioł pokazać to, co tamten powiernikowi tylko swemu, Gigesowi, pokazał. Goście radzi przyjęli wezwanie margrabiego.

Powstali więc i chwiejącym się nieco krokiem ruszyli na wyprawę. Prosper szedł na czele, inni za nim na palcach przechodzili szereg pokoi i zatrzymali się u drzwi półszklannych, lekką tylko zasłonionych kitajką. Prosper podniósł firankę ręką lekką, a bezpieczną, i wszyscy mogli wygodnie patrzéć na młodą margrabinę, nieubraną, w szacie tylko porannéj, zaniedbanéj i roztwartéj — siedziała na sofie bez przymusu, oparta głową na ramieniu młodzieńca, który swe jagody do niéj przychylił; jedną ręką bawił się z puklem włosów spuszczonych, a usta się ich stykały.

Biédna pani de Lagarde! ona zostawała wówczas w tém szczęśliwém położeniu namiętności, kiedy namiętność się zapomina, kiedy miłość śni na jawie, kiedy młoda kobiéta nie widzi nic złego, co ją otacza. Jednak tą razą, zwracając swe oczy z oczu pięknego młodzieńca, dostrzegła bardzo dobrze zasłonę uchyloną, i gości na nię patrzących. O nieba! wtedy krzyknęła głośno. Na ten krzyk młodzieniec wyskoczył oknem i zniknął. — Prosper opuścił firankę z uśmiéchem i spojrzał na sześciu swoich przyjacioł, równie jak on zdumionych.

W milczeniu odprowadził ich do wrót ogrodu; żaden nie śmiał zdobyć się na słówko pociechy lub przygany; rozstali się nawet bez podania sobie rąk. Odjechały powozy... Pan sam zamknął bramę, która zaskrzypiała zwykłym głosem, i wrócił do zamku.

Szczęściem ulica, którą przechodził, była długa i samotna. Margrabia de Lagarde brzydki był w istocie, łysy, wychudły. Za całą zaletę miał żywe oko i piękne zęby,

piękne mówię, tak je nazywały kobiéty, i wyraz ten dla nich zda się tylko stworzony, one jedne, jak należy, wymawiać go umieją. Nadto margrabia uchodził w świecie za dowcip niepotężny, czyli, że istotnie słabego był umysłu, czyli że wołał owoce jego dla siebie zachować, nie roniąc ich w salonowych gawędkach. Przymawiano mu jeszcze, że był nieudzielający się, mało towarzyski; słowem, zamknięty w sobie i pozbawiony zalet, głaszczących próżność niewieścią.

Długo wątpił o pozyskaniu miłości Zuzanny, 16letniéj blondynki, którą pojął za żonę dla pięknych błękitnych oczu i ust różanych, a więcéj podobno dla bogatego posagu, który, zdaniem znawców, więcéj znaczy, niż błękitne oczy świata całego. Wiele musiał znieść kaprysów panny młodéj, wiele należało przepuścić na rachunek młodych latek i popsutego dzieciństwa, tak odbijającego przy poważnym mężczyźnie, co dojrzał długiém użyciem. Jednak ostatni kaprysik Zuzanny zdał mu się za mocny; honor jego dotknęła skaza w obec tylu świadków, a pod względem honoru był on draźliwszy od wielu. Wierność żon i dziś jeszcze u niektórych poczciwych ludzi stoi na równi z nieskazitelnością pojedynku. O tóż wieczny rozbrat ze złudzeniami wierności w pożyciu! a jednak Prosper, śród niemiłych przypomnień uczty, chciał jeszcze wątpić o rzeczywistości; radby mniemał, że to było przywidzenie... mara zmysłów, winem zagrzanych; lecz to samo wino, często lepszy przepowiednik, niż zimna rachuba, przypominało mu rzecz całą i stawiło na myśli cały szereg szczegółów, o które rozbijała się wszelka wątpliwość. Widział myślą całą owę scenę, pożądaną zaiste oku malarza, któréj pozazdrościłby Greuze; młoda kobiéta, wpół objęta ramionami pięknego młodzieńca, upojonego miłością. Scena, miła oczom artysty, ale nie męża.

»Tak więc było zapisano w księdze mego przeznaczenia!« myślał sobie margrabia. »Moja żona zdradza mię dla innego, a ten inny wart bezwątpienia więcéj ode mnie; a więc wszystko idzie podług naturalnego rzeczy porządku. Przeklęcie!« Po chwili namysłu tak znowu z sobą rozmawiał: »Któraż to godzina? bez wątpienia szósta już wieczorna, bo słyszę chrapliwy głos wiejskiego dzwonka. Więc już posępny wieczór jesienny. I oto dawny park mojego ojca, i oto młody mój szpaler lipy i akacyi, i smugi tymianku, pospolitéj woni, i moje róże, listek po listku roniące na murawę, i chude topole, zginające się ku sobie, jakby dla cichego zwierzenia tajemnic miłości, a nad wodą jeszcze rój muszek ulata, i brzęczy koło nabrzeżnego krzaku; daléj grucha gołąb niewyraźnie i głucho, kryjąc się pod gałązki ciemniéjszéj zieleni; ten szmer zachodni, te wonie ostrzegają mię o schyłku dnia pięknego, żegnającego się z ziemią. Słyszę za ogrodem na poblizkich łąkach odgłos trzody, i pobrzękiwanie jéj dzwonków; słyszę cięższy chód jałowic, które pędzi przed sobą małe dziéwczę, w ręku swe niosąc trzewiczki, wykrzykiwanie pacholąt, wracających z koszami uzbiéranej trawy; a w stajni mojéj konie kładą się w swych klatkach, a za stajnią niezmordowany pracownik, kowal, mierzonym młotu kołatem, zdaje się, wybija takt owego rozlicznego ruchu wioski. Niestety! w około poznaję naturę; poznaję ją, bo wdzięki jéj tkliwiéj przemawiają, kiedy tajemna troska serce naciśnie. Zdaje się, że wtedy trzeba zbiérać siły i raz ostatni pożegnać i tę łąki, i te kwiaty, i kasztan domowy i winną latorośl, czystym swym wieńcem zdobiącą domu przysionek.«

Wchodząc do sali jadalnéj przykre uczuł wrażenie na widok szczątków przyjacielskiéj uczty. Wszystko stało w dawnéj postaci, jak je odeszli; zamknione powietrze dochowało zapach wietrzejącego wina i potraw zakrzepłych, zwierzyny, ryb, trufłów i cytryny. Zatrzymał się przed stołem, uśmiéchnął, założył ręce i przypatrywał pobojowisku;... Wszędzie butelki na pół wypite, zmięte serwety, potłuczone kieliszki szampańskie, któremi dłoń niestatkująca niezręcznie o stół trąciła. Mniemał jeszcze widzieć swoich gości, dobrodusznie unoszących się nad słodyczą małżeństwa, nad swojémi żonami, a spijających smacznie jego wino, kiedy tymczasem jego żona, jego czysta Zuzanna!... »Ej do licha! szaleniec jestem!« rzekł i poszedł prosto do pokojów pani.

Wszystko tak miłe, tak ciche stało mu na drodze do sypialni pani de Lagarde, w każdym pokoju zapach kwiatów do serca idący,

pieszczony, jak kobiéta, co cię zwieść zamiérzała. Duże zégary, czary kryształowe, źwierciadła, odbijające ostatni promień zachodu, wszystkie zbytki młodego gospodarstwa, tak to wszystko było spokojne, że na ten widok wszelka go nienawiść i chęć zemsty odpadła. Już się zahartował był na występek swej żony, postanowił pójść wbrew wszelkim przyzwoitościom towarzyskim, w artykule najważniejszym ze wszystkich przyzwoitości. Co za bohatér! (Dokończenie nastąpi.)

PRZESTROGA.

ŻART I NIE ŻART.

(Naśladowanie z niemieckiego.

Wiém i wspomnieć mi przyjemnie,
  Jeszcze lok mi spadał w skroń,
Już ciekawe dziecko ze mnie —
  Dziewczętom ściskałem dłoń.

I młodzieniec, téj przywary
  Nie mogłem się nigdy zbyć;
Nawet teraz nałóg stary
  Nie poprzestał we mnie żyć.

Zawsze piękność mię przenika,
  Choć pół kopy mam już lat;
Bo me serce nie metryka,
  Ni kalendarz, nie zna dat.

Tak, gdy ciężkie jakie licho
  Napaść może piękną płeć;
Nie potrafię siedzieć cicho,
  W czułem sercu spokój mieć.

Lecz, chcąc czyste mieć sumienie,
  Zawsze przestrzedz muszę wczas;
Bo, jak rzekłem, ja was cenię..
  Ja was lubię wszystkie wraz!

Oto jakiś tam poeta,
  Czy wam? nie wiem, mnie on znan,
Poznał wreszcie co kobiéta,
  I w małżeński chce iść stan.

Że to nie jest wymysł marny,
  Za to ręczyć mogę wam,
Nawet przysiądz, jakem czarny!
  Że mi z tém się zwierzył sam.

Bo to mój przyjaciel dawny,
  Wiek dziecinny łączył nas;
Z nim wesoły, z nim i sławny,
  Z nim i smutku żyłem czas.

Lecz powinność i to serce
  Moje czułe, widzi Bóg!
Robi ze mnie przeniewiercę,
  Zdradzam przyjaźń, płacę dług.

Ach, dziewico, gdy koniecznie
  Pragniesz w Ewy wstąpić ślad,
Żebyś nie płakała wiecznie
  Posłuchajże moich rad.

Wojownika, chłopa, szlagę,
  Wszystko jedno jak się zwał,
Zamróż oczy, rzuć rozwagę,
  Bierz każdego, byle chciał.

Lecz poetę, chociaż hojny
  W czucia wrzące, każda stroń;
Od powietrza, głodu, wojny
  I od wieszcza Bóg was broń!

Bez ojczyzny na téj ziemi,
  Bo świat jego, świata on;
Obcy nawet między swemi,
  Ten mieszkaniec górnych stron.

Błądzi wiecznie w puszczy szałów,
  I włożoną dłonią w żar,
Świat maluje z ideałów,
  Za nic ceni ziemi dar.

Ostateczny, wybujały,
  Jak myśl jego, czucie, spiew,
Nie dba wcale choćby cały
  Świat mu zgubnie zajrzał wbrew.

Lecz małżeńskie znieść kłopoty,
  Choćby najcierpliwszym był,
Nie potrafi, bo do cnoty
  Tak codziennéj brak mu sił.

Więc poetę, chociaż hojny
  W czucia wrzące, każda stroń!
Od powietrza, głodu, wojny
  I od wieszcza Bóg was broń!

Wprawdzie miło brzmi natchnieniem
  Waszém lutni jego dźwięk;
Ten urokiem lub spojrzeniem
  Wydobyty z duszy jęk;

Téj miłości, co wywiéra
  Każdy pieśni jego ton,
Niechaj skała się opiéra,
  Lecz nie czułość waszych łon.

Ale czyżto obraz żony,
  Czyto jéj domowy wdzięk,
Z lutni męża dobył tony,
  I pod gwiazdy uniósł dźwięk?

O nie! — miłość nieszczęśliwa
  Tylko ten w nim wznieca żar!
Te westchnienia wydobywa,
  I tęsknego spiewu dar.

Bo i cóż swéj Amfrodycie,
  Pięknéj jak jutrzenki skra,
Mniéj, jak serce, dusze, życie,
  Wieszcz w ofierze przynieść ma?

Ale biada, jeźli w łonie
Której miłość wznieci ón;
Jeźli w mirt uwieńczy skronie,
I do ślubu jęknie dzwon.

Ślubne światło gore jaśnie;
Ty coś bóstwem była wprzód,
Gdyś już żoną, bóstwo zgaśnie,
A kobieta... ziemi płód.

I tam na tym szczęścia szczycie,
Co mu się tak boskim zdał,
Ciemno w koło, jak to życie,
W którém niebo znaléźć chciał.

Wtenczas już i Pegaz spada,
Bo go zmęczył górny lot,
A ten jeździec, postać blada,
Prozą ściera z czoła pot. BOŁOŻ.

O NOWÉM, BARDZO KORZYSTNÉM POSTĘPOWANIU WYWAPOROWANIA SYROPU, UŻYCIEM GORĄCEGO POWIETRZA.

Jednym z najważniejszych wynalazków, zrobionych w czasach ostatnich, jest, jak wiadomo, użycie gorącego powietrza w piecach do topienia rudy *(Hochöfen)*. Jeźli powietrze, nim je do topiarni wprowadzimy, rozpalimy do gorącości płynnego ołowiu, wtedy do szmelcowania rudy żelaznéj używać można węgli kamiennych, miasto zwyczajnych węgli, przezco oszczędza się wydatku na wypalenie tychże, i mniéj wtedy wapienniku, jako środka do rozpłynu, używać potrzeba. Do tego i ta jeszcze przyczynia się korzyść, że tym sposobem daleko więcéj otrzymujemy żelaza.

Panu Brame Chevalier (jak już po krótce donosiliśmy) udało się użyć z wielką korzyścią gorącego powietrza do wygotowywania syropu przy fabrykacyi cukru z buraków i przy gotowaniu tegoż. Z syropu burakowego nie otrzymywano, jak wiadomo, tyle jeszcze cukru, ile po rozbiorze chemicznym otrzymać było można. Najstaranniéj pracujące fabryki otrzymują tylko 4, a najwięcéj 5 pCt. cukru z syropów, zawierających go 10, a nawet 12 pCt., tak, że przy używanym teraz sposobie krystalizowania przynajmniéj połowa cukru burakowego w *melis*, czyli cukier niekrystalizowany, przemieniona bywa. Dalsze więc szczęście fabrykantów cukru z buraków zawisło bezwątpienia od popraw, jakie w krystalizowaniu uczynione będą; bo jeźli uda się pomnożyć wydatek cukru, nie pomnażając o wiele kosztów fabrycznych, natenczas nie potrzeba nam się będzie lękać współubiegania cukru indyjskiego.

Pan Chevalier twierdzi, że z syropów da się wyciągnąć wszystek cukier, jaki one mają w sobie po rozbiorze chemicznym, jeźli do wywaporowania onegoż używać będziemy gorącego powietrza; także pan Dumas okazał akademii paryzkiéj bardzo ładne wzory cukru krystalizowanego, który on powyżéj rzeczoném postępowaniem zrobił z *melisu*, i utworzyło się nawet towarzystwo dla zakupienia wielkiéj ilości *melisu* w rafineryjach, ażeby z niego, według metody Chevaliera, wyciągnąć cukier, jaki w sobie jeszcze zawiérał.

Aparat pana Chevalier, na który tenże pietnasto-letni otrzymał patent, jest bardzo trafnie zrobiony. Gorące powietrze pędzone jest w nim na dno kotłów przez mnóstwo dziur; są one tak duże, iż gorące powietrze przez nie przejść może, lubo syrop, znajdujący się w kotłach, nie jest w stanie przecieknąć. Gdy więc bąble gorącego powietrza przez syrop przechodzą, odbiérają mu owe wodne części, w których się cukier rozpuścił.

Postępowanie to nadarza następujących korzyści: 1) Ponieważ syrop nie jest tak mocno rozgrzany, ażeby w nim przezto jaka odmiana nastąpiła, więc dostajemy więcéj cukru, a przeto mniéj *melisu* (6 — 8 pCt.), podług ilości użytego syropu. 2) Ponieważ wywaporowanie tym sposobem dzieje się daleko prędzéj, to jest: o połowę prędzéj, jak samą parą, oszczędza się więc paliwa i pracowników. Siła, pędząca gorące powietrze do kotłów, tak mocne sprawia zburzenie, że wywaporowanie następuje bardzo prędko, nawet w 45 stop. Reaum. 3) Otrzymujemy lepszy wyrób. 4) Aparat tak jest urządzony, że można rozgrzéwać suszarnie bez pomnożenia kosztów. Składa się on z kotła parowego, który pędzi najprzód pompę parową, poruszającą walec powietrzny; powietrze napływa do kotłów, które rozgrzéwa, dla sprawienia ewaporacyi i gotowania. Dostaje się tamże przez podwójne dno, i przeciska się przez płyn, rozdzieliwszy się na niezliczone części. Ewaporacyja następuje w 45 — 60 stop., a gotowanie w 50 — 75 stop. Reaum.

Dinglera: *Politech. Journal* r. 1834.)

— Ze Lwowa. —

Rozmaitości krajowe i zagraniczne, pismo wychodzące w Warszawie przy Gazecie Warszawskiéj, przedrukowało w Nrzach swoich 22. i 23. z Rozmaitości naszych wiersz oryginalny: **Czerwony płaszcz**, bez przytoczenia źródła.

Galicyja liczy siedm zakładów sióstr miłosierdzia, zajmujących się pielęgnowaniem chorych, to jest: we Lwowie, w Maryjampolu, Załościach, Nowosiółkach, Przeworsku, Rozdole i Moszczanach. W zakładach tych było r. 1833 chorych płci męzkiéj 2258, płci żeńskiéj 2465, ogółem 4722; z tych wyzdrowiało 4216, umarło 266, a pozostało w szpitalach 196. Też siostry miłosierdzia mają w Galicyi pięć zakładów, przeznaczonych ku wychowaniu sierot płci żeńskiéj, to jest: we Lwowie, Załościach, Maryjampolu, Rozdole i Moszczanach. W zakładach tych było r. 1833 272 sierot; z tych 11 umarło, 42 wystąpiło, a pozostało na wychowaniu 219. (Ob: szczegóły tego spisu w Dodatku do Gazety Lwowskiéj Nr. 74.)

Wiara, jakoby w dniu Śgo Jana Chrzciciela, *kupało* powszechnie zwanym, słońce się kąpało, tak jest na Rusi upowszechniona, iż lud liczny po wsiach dnia tego zwykł na wzgórza wychodzić, aby słońce z kąpieli wychodzące widzieć.

W Rzeszowskim chłopczyki małe, gdy widzą tęczę na niebie, śpiewają: Tęczo, tęczo, nie pij wody,
Narobisz ty ludziom szkody.

Z listu z obwodu samborskiego. Postanowiłem grzebać za zabytkami zgasłych wieków. Udałem się do **Rosoch**, wsi, po największéj części przez szlachtę zamieszkałéj, i znalazłem tam ordynans hetmana Sieniawskiego z własno-ręcznym jego podpisem. W cerkwi oglądałem hakownicę, z któréj szlachcic, jak mi mówiono Terlecki, sprzątnął wodza Tatarów, zapewne podczas ostatniego napadu, a to z muru, którym cerkiew dawna była opasana na tysiąc lub więcéj kroków. Wielu Terleckich było władykami ruskimi. W miasteczku **Turce** drukowano żydowskie książki, o czém Bandtkie nie wspomina. Byłem też w monasterze bazylijańskim w **Dobromilu**; znajduje się tam wiele ładnych obrazów, a książek wszystkich jest do 700, między temi 74 ruskich, policzywszy do nich dwa rękopisma, jedno *Ewanielije*, w języku sławiańskim cerkiewnym bardzo porządne *in fol.* kiryl., drugie bez początku i końca, zawierające *Homilije*. T.

Z Wiédnia. Wyszedł w tych dniach z drukarni Ant. Straussa najdawniejszy może zabytek pismienńictwa polskiego: **Psałtérz królowéj Małgorzaty, piérwszéj małżonki Ludwika I., króla polskiego i węgierskiego, córki króla czeskiego i cesarza Karola IV., wydany staraniem Hr. na Skrzynnie Dunina-Borkowskiego, podkomorzego J. C. K. A. Mości, wielu towarzystw uczonych członka.*** Przysługa, którą szanowny wydawca, nie szczędząc ni pracy, ni trudu, ni kosztów, uczynił literaturze polskiéj, wkłada na wszystkich jéj miłośników obowiązek nie małéj dla niego wdzięczności. Psałtérz ten równie ważnym jest dokumentem do dziejów pismiennictwa i kształcenia narodowego, jak ciekawym nader dla badaczów pomnikiem języka, mogącym służyć za podstawę do nauki o jego prawdziwym duchu i naturze. Wiadomość o rękopismie Psałtérza tego, znajdującém się w księgozbiorze klasztoru Śgo Floryjana koło Lincu w wyższéj Austryi, udzielona najprzód była przez jeg. ks. Chmela, niegdyś biblijotekarza w klasztorze Śgo Floryjana, a dziś archiwistę w tajném *archivum* cesarskiém, i W. Kopitara, kustosza przy c. k. biblijotece wiedeńskiéj, Jerzemu Samuelowi Bandtkiemu, który ją w osobném pisemku r. 1827 drukiem ogłosił i podał do tomu XIIgo »Rocznikow towarzyst. nauk. krakow.« o tém wiadomość, gdzie znajduje się od str. 25 — 63. Hr. Dunin Borkowski opowiada w przemowie dzieje odkrycia i wydania tego Psałtérza, załączając opis rękopisma, dla którego dwukrotną podróż aż na miejsce do klasztoru Śgo Floryjana odbywał. Piękne *fac simile* załączone jest przed tytułem nie tylko ku ozdobie ze wszech miar starannego wydania, ale służy zarazem do usprawiedliwienia nazwy, jaką wydawca Psałtérzowi temu nadał. W krytycznym wywodzie, do kogo rękopismo to mogło należéć, okazał wydawca, jak w podobnych śledzeniach używać należy naukowych pomocy, aby dojść prawdy, albo przynajmniéj wyrzec sąd prawdo-podobny.* A. K.

Młody, pełen talentu, kompozytor, ziomek nasz, Tomasz Nidecki, który w ostatnich czasach wsławił się muzyką do opery napisanéj w Wiédniu: *Der Waldbrand*, został tamże kapelmistrzem teatru w Leopoldstadt.

Z Węgier. W czasopismie niemieckiém *Luna*, wychodzącém w Zagrzebiu (Agram), dr. **Rumy**, mieszkający w Węgrzech, sam donosi o sobie, że zbiérał mnogie lata pieśni narodne po rozlicznych niemieckich narzeczach i sławiańskie także z wielu narzeczy. Prócz tego ze swego zbioru część narodnych pieśni węgierskich *(naguar nepdalok)* posłał swemu przyjacielowi, panu Bowringowi, do Londynu, który je przełożył i wydał. — W jednym artykule Pszczoły Czeskiéj wyrażono serdeczne życzenie, aby pieśni dr. Rumy sławiańskie mogły stanąć obok zbiorów Kolára i Wuka Karadzicza. Sądząc wszakże wedle pieśni węgierskich, posłanych panu Bowringowi, nie mamy o tém wielkiéj nadziei, albowiem doktor Rumy nie umié zrobić różnicy pomiędzy pieśniami ludu i nie ludu. P. Bowring pieśni, które przełożył węgierskie ze zbioru doktora Rumy, umieścił w swojém wyborném dziele: *Poetry of the Magyars.*

Muzykalna familija Kątskich przybyła wiosnie do Pesztu, gdzie koncerta dawać będzie. — Peszt posiada kilku dobrych skrzypków. Na czele tych wyliczają pisma czasowe naszego ziomka, pana Serwaczyńskiego, po nim Taborskiego i Arnsteina.

Z Warszawy. Ma tu wyjść dziełko: »Strategika szachowa, czyli praktyczny sposób doskonalenia się w grze szachów.« Piérwsze w swoim rodzaju w języku polskim. — Mrongowiusz, zaszczytnie znany swoim Słownikiem niemiecko-polskim, wydaje teraz na przedpłatę: **Polsko-niemiecki Słownik.**

Jan Zawadzki, adwokat przy sądzie apelacyj. Królestwa Polskiego, tłumacz »Wiosny Kleista,« oraz poematu »Miłość macierzyńska,« umarł w Lipsku d. 5. czerwca r. b. w 36tym roku życia, wracając z Włoch po utracie ukochanéj małżonki swojéj, któréj w podróży, przedsięwziętéj dla poratowania zdrowia, towarzyszył.

Z Wilna. Pan Felix Walezy Neumann ogłosił tu wydanie dzieła: *Oytsar Leszoyn chochmo*, **skarb języka mądrego, czyli słownik praktyczny hebrejsko-rabińsko-żydowsko-polski.** Dzieło to, składać się mające z dwóch tomów, posłuży do wyjaśnienia zwyczajów i obyczajów Izraelitów naszych, tudzież do zrozumienia ich języka. Jestto także w swoim rodzaju piérwsze zjawisko w języku polskim. — Do historyi wojny konfederatów barskich można czerpać wiele wiadomości z dzieła Fryderyka Smitt, wyszłego tutaj w r. z. w języku niemieckim, pod nazwą: *Suwarows Leben und Heerzüge im Zusammenhange mit der Geschichte seiner Zeit.*

Journal d'Odessa pisze z Ekaterynosławia pod d. 14. (28.) maja: »Dnia 9go b. m. otworzona została biblijoteka nasza z wielką uroczystością, w obecności gubernatora cywil-

* Znany zaszczytnie światu uczonemu przez swe w Paryżu i w Niemczech wydane mineralogiczne rozprawy i przez »Podróż do Włoch,« wydaną w Warszawie 1821 roku.

* Dzieło to znajduje się już we Lwowie w księgarni pp. Kuhna i Millikowskiego.

nego, Longinow, arcybiskupa Gabriela z duchowieństwem, i licznych gości płci obojéj. Mianowany biblijotekarz miał stosowną do okoliczności mowę, poczém wzniesiono za cesarza i rodzinę cesarską toasty. Wszyscy obecni, którzy znaczną ilość książek i pieniędzy dali dla biblijoteki, byli na śniadanie zaproszeni. Od tego dnia biblijoteka, umieszczona w sali deputowanych szlachty, otwarta jest dla wszystkich każdego wtorku i każdej soboty.

W Kopenhadze istnieje król. towarzystwo w celu badania starożytności północnych. Zamiarem towarzystwa tego jest mianowicie objaśnianie i wydawanie islandzkich, czyli północnych pism starożytnych, równie jak wydobywanie na jaw i przechowywanie tego wszystkiego, coby posłużyć mogło do wyświecenia w ogóle starożytności języka i dziejów dawnéj Północy, a przeto miłość do przodków i do kraju obudzać i utrzymywać. W gronie członków swoich liczy towarzystwo to między innymi profesora Trojańskiego z Krakowa.

Donoszą ze Stuttgardu: »Zgromadzenie niemieckich badaczów przyrody i lekarzy będzie w tym roku bardzo liczne, przynajmniéj zgłosiło się już mnóstwo cudzoziemców. Jest rzeczą ciekawą, że przed samém rozpoczęciem zgromadzenia naturalistów w Stuttgardzie odbywać będzie w Strasburgu posiedzenia swoje towarzystwo geologiczne Francyi, które ukończone zostaną d. 16. września. Mogą więc uczeni niemieccy odwiedzić zgromadzenie naturalistów francuzkich i na wzajem być przez Francuzów odwiedzonymi.«

W odlewalni braci Manfredini w Medyjolanie ukończono właśnie dziesiątego i ostatniego konia, przeznaczonego na ozdobienie tryumfalnego łuku pokoju w témże mieście. To wspaniałe dzieło sztuki wkrótce zupełnie ukończone zostanie. Będzieto jeden z najpiękniejszych pomników, jakie sztuka dawnego i nowego wieku wydała, ale też 2,000,000 liwrów włoskich kosztować będzie.

W Rzymie wychodzi także magazyn fenikowy, pod nazwą: *Album*. Arkusz jeden obejmuje kilka rycin i kosztuje tylko pięć krajcarów. Piérwszy numer, oprócz innych wyobrażeń, zawiera portret Canowy, zwaliska Parthenonu i grotę Posilippu.

Sławny uczony 16go wieku, Justus Lipsius, miał tak doskonałą pamięć, że całego Tacyta umiał od deski do deski i podejmował się recytować go przy człowieku z podniesionym orężem, pozwalając sobie uciąć głowę, jeżliby w jednem słowie się zmylił.

Najsławniéjszy z teraźniéjszych romansopisarzy, Anglik Bulwers, maluje w nowém dziele swojém, wkrótce wyjść mającém, ostatnie dni Pompei. W tym celu przepędził autor całą zimę w Neapolu.

Król jmci grecki Otto I. przyjął dedykacyją wydanej właśnie gramatyki filozoficznéj języka nowo greckiego, któréj autorem jest znany literat pan Jakób Pitzipios. Tenże wydać zamyśla dzieło w 3ch tomach, pod tytułem: »Siérota z Chios.« Ma to być piérwszy romans w języku nowogreckim.

Moniteur Ottoman zawiéra doniesienie architekta, Abdul Halim efendego, przełożonego nad budowlami Sułtana, gdzie zawarty jest plan do założenia w Konstantynopolu akademii budowniczej. Sułtan przyjął plan ten i własnoręcznym rozkazem polecił niezwłoczne wykonanie onegoż, ażeby budownictwo dójść mogło w państwie otomańskiém do doskonałości, jak tylko można największéj, i ażeby opiérało się na posadach połączonych z niém umiejętności.

»Ten, co mi powié,« rzecze nie dawno pewien młody trefniś w wesołéj kompanii, »kto jest piérwszym człowiekiem naszego wieku, dostanie ode mnie pięć butelek wina szampańskiego; jeżli zaś nie zgadnie, żądam od niego takiéj samej kary.« Kilku z obecnych przyjęło ten zakład i każdy wymienił jednę osobę, którą za najznakomitszą uważał, ten np: Napoleona, ów Kanowę, trzeci Szyllera; jeden zaś wspomniał nawet o kucharzu Viardzie, który nowy sos wynalazł, lecz proponujący zakład ciągle utrzymywał, że nie zgadniono. Nareszcie gdy nikt żadnej już osoby wymienić nie umiał, zakładający się zabrał głos i rzecze: »Chcę was, moi panowie, wydobyć z tego kłopotu i powiadam wam, że — jako jestem piérwszym człowiekiem wieku naszego. O godzinie dwunastéj, i we trzy minuty tylko po upływie roku 1799, ujrzałem światło dzienne i przekonany jestem, że nie znajdziecie człowieka, co z większém prawem mógłby powiedzieć o sobie, że piérwszym jest człowiekiem wieku swojego.« Wszyscy rozśmieli się z tego pomysłu i twórca jego zakład wygrał.

Jeden z dzienników francuzkich umieścił następującą igraszkę słów: »Król Francuzów rad poprzestaje na trzeciéj części (*Thiers*, aluzyja na ministra téj nazwy), a książę orleański szuka połowicy (to jest żony).«

Pewien jegomość w Paryżu odkrył nie dawno na papiérze, w który makaron był zawinięty, podpis imienia Woltera, i po dalszém badaniu okazało się, że to był list Woltera, pisany do głównego kontrolora skarbu z prożbą, ażeby połowę płacy, którą Wolter pobiérał jako *gentilhomme de la chambre du roi*, oddawano nieszczęśliwemu Labarpe. Duży plik papierów, z którego list ten wyjęty, znajduje się w ręku handlującego tytoniem, i spodziewają się wydobyć więcéj jeszcze nieznanych listów Woltera.

Hrabia Thibaudeau wydał w Paryżu romans historyczny we dwóch tomach, pod nazwą: *La Boheme*. Bawił on długi czas w Pradze i w dziele tém wiele umieścił wiadomości o obyczajach i zwyczajach Czechów, który to narod jest zupełnie prawie Francuzom nieznany.

Tamże niejaki pan Duhamel ogłosił nowe przedsięwzięcie, mające na celu zaspokojenie potrzeby widzenia dokładnie godziny, o któréj się nie jednemu z przechodzących, bądź dla braku własnego, bądź dla małéj liczby publicznych zégarów, dowiedzieć trudno. Na ten koniec zakład jego utrzymywać będzie swoim kosztem 1,200 zégarów chodzących, to jest: ludzi, odzianych, dla odznaczenia się od innych, w surduty jasno-niebieskiego koloru i wysokie czapki, opatrzonych w regularne zégarki, z których każdy, na zawołanie przechodzącego, winien mu się ukłonić i, za zapłatą jednego *sous*, godzinę pokazać lub powiedziéć. Tym sposobem wielu ludzi uniknie potrzeby umyślnego zachodzenia w tym celu do cukierni, kawiarni, lub biegania za zégarami wieżowémi. (T. P.)

W zwaliskach pewnego opactwa w Szkocyi wykopano trumnę, która bez wszelkiéj wątpliwości zawiera zwłoki króla Dunkana, tego samego, co był od Makbetha zabity.

Donoszą ze Sztokholmu, że król jmci szwedzki wyznaczył we względzie gospodarskim następujące nagrody: 5,000 talar. za najlepszy i najmniej kosztujący sposób wysuszenia prędko niemłóconego zboża; 3,000 za najlepszy sposób wysuszenia zboża młóconego; 2,000 za wynalezienie najlepszego schowku na zboże, w którymby niemłócone bez szkody przechowywane być mogło.

Dziéwczęta, pracujące przy fabrykach w Ameryce północnej, zrobiły nie dawno powstanie dla uzyskania większéj płacy dla siebie. W Nowym-Jorku posunęły do takiego stopnia śmiałość swoję, że się już lękano ostateczności. Nareszcie, gdy namiętności ich do najwyższego wygórowały stopnia, posłano do nich młodego, dobrze zbudowanego radzcę, który perswadował dziéwczętom i dał do zrozumienia, że najroztropniéjszą z nich pojmie za żonę. Nie minęło więc pół godziny, a wszystkie były roztropnémi i młody radzca był w kłopocie, jak obietnicy swojéj dotrzymać.

Sposób doświadczania wina fałszowanego. Chcąc doświadczyć, czy w winie nie znajduje się ołów, wrzucić doń potrzeba kulkę z cynku, a te, jeżli jest ołów w winie, natychmiast błonką się powlecze.

REDAKTOR, MIKOŁAJ MICHALEWICZ. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.